

Polskie uczelnie w objęciach sarmatyzmu

Andrzej Jajszczyk* 2010-09-24

Duch zacofania przenikający polskie szkolnictwo wyższe spycha nas na peryferie cywilizacyjne

Zadziwiające dobre było samopoczucie większości szlachty u schyłku I Rzeczypospolitej — jej głębokie przekonanie o doskonałości stosowanych w Polsce rozwiązań politycznych oraz o potędze kraju. Naśmiewano się z głupich i skąpych Prusaków czy prymitywnych Rosjan. Podobnie teraz — znaczna część środowisk akademickich uważa, że nasz system kształcenia wyższego jest znakomity. Potrzebujemy jedynie więcej pieniędzy.

Ci nieliczni, którzy postulują głębokie zmiany, są zakrzykiwani i oskarżani o próby bezmyślnego kopiowania cudzych wzorów.

Informacje o fatalnych pozycjach naszych najlepszych uniwersytetów w światowych rankingach szkół wyższych, w których wyprzedzają nas uczelnie z Argentyny, Brazylii, Chin, Meksyku, Tajwanu, Południowej Afryki czy Singapuru, zbywa się, podważając ich metodologie, a także próbuje się przekonywać np. o jakoby szczególnej roli naszej niedocenianej humanistyki.

Co gorsza, podważając wskazania rankingów, używa się argumentów świadczących często o zupełnej nieznajomości zasad ich tworzenia bądź celowo wprowadza w błąd opinię publiczną.

Uczelnia nierządem stoi

„Polska nierządem stoi!” — wykrzykiwali dumni z siebie Sarmaci, podkreślając tę podstawową cechę złotej wolności. Kilkaset lat później przeciwnicy menedżerskiego systemu zarządzania uczelniami publicznymi wykrzykują o zagrożonej jakoby wolności uniwersytetów. A tymczasem role charakterystyczne dla właściciela, nadzoru, zarządu i reprezentacji pracowników i



©Agencja Gazeta

Fot. Bartosz Bobkowski / Agencja Gazeta

Prof. Jajszczyk: To, że niektórzy rektorzy potrafią współdziałać z rozdětymi senatami, wydziałami czy związkami zawodowymi, graniczy z cudem. Na zdjęciu inauguracja roku akademickiego w szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, 2 października 2007 r.

studentów są w polskich uczelniach publicznych pomieszczone. Organy kolegialne są zbyt liczne, co utrudnia realizację zadań i zmniejsza indywidualną odpowiedzialność ich członków.

Wielkimi niekiedy instytucjami, jakimi są polskie uczelnie, bardzo często kierują amatorzy. Co gorsza, prawo niezwykle utrudnia sprawne i efektywne nimi zarządzanie. Władze uczelni publicznych praktycznie nie są rozliczane z działalności, brakuje bowiem niezależnego od rektora ogniwa pośredniego pomiędzy właścicielem, czyli państwem, a władzami uczelni.

To, że niektórzy rektorzy potrafią współdziałać z rozdętymi senatami, wydziałami będącymi udzielnymi księstwami, związkami zawodowymi i uczestniczącymi również w wybieraniu rektorów studentami, graniczy z cudem. Ale to wszystko uniemożliwia, podobnie jak było w Rzeczypospolitej sarmackiej, przeprowadzenie głębszych reform w uczelniach, reform prowadzących do znaczącego podniesienia ich poziomu.

Tytułomania

Jakkolwiek polska szlachta była nominalnie równa, lubowała się w tytułach. Podobnie my czerpiemy radość z licznych literek przed nazwiskiem. Co gorsza, część z tych rzadko już używanych w świecie tytułów jest czynnikiem hamującym awans młodych naukowców i powodującym skostnienie kadry. Profesor tytułarny czy doktor habilitowany może w obecnym systemie zaniedbywać latami obowiązki dydaktyczne i badawcze, jednocześnie blokując tych, którzy chcą i potrafią pracować.

Próba zniesienia stopnia doktora habilitowanego wywołała histeryczną reakcję znacznej części środowiska, twierdzącego, że obniży to poziom naukowy polskich uczelni. A przecież w Stanach Zjednoczonych, kraju najlepszych uniwersytetów, w całej karierze akademickiej wystarczy stopień doktora. Później liczy się tylko autentyczny dorobek naukowy i dydaktyczny. Również w krajach, w których habilitacja odgrywała kiedyś znaczącą rolę, jak Niemcy czy Szwajcaria, stopniowo się od niej odchodzi, umożliwiając awanse wybitnym osobom bez tego stopnia.

Inną odmianą tytułomanii jest napuszone nazewnictwo szkół wyższych. Wąsko wyspecjalizowane uczelnie, zamiast koncentrować się na ulepszaniu dydaktyki i pracy naukowej, masowo przemianowują się na uniwersytety ekonomiczne, rolnicze itp., mimo że to ich wąskie ukierunkowanie jest zaprzeczeniem idei uniwersytetu. Działania takie często ośmieszają podejmujące je jednostki. Czy Londyńska Szkoła Ekonomii (*London School of Economics*), jedna z najlepszych uczelni świata, zyskałaby większy prestiż, zmieniając nazwę na Uniwersytet Ekonomiczny?

Postaw sukna

Polska w okresie sarmatyzmu była traktowana jako „postaw sukna”, z którego każdy starał się wydrzeć coś dla siebie. Nie inaczej jest i dziś w polskim szkolnictwie wyższym. Coraz częściej celowo wybiera się słabych rektorów, aby później można było nimi manipulować przez lokalne kliki i koterie. Podobnie dzieje się w wyborach do ciał międzyuczelnianych, w których większe uczelnie dogadują się co do podziału kluczowych stanowisk, nie zważając na jakość kandydatów.

Wyniki wyborów do Polskiej Akademii Nauk, przynajmniej w przypadku Wydziału Nauk Technicznych, od jakiegoś czasu mają nikły związek z osiągnięciami naukowymi czy technicznymi zgłoszonych osób. Są odzwierciedleniem siły dobrze rozpoznawalnych grup interesów.

Niestety, do niezbyt czystego wyścigu po ograniczone zasoby stają też przedstawiciele samorządów studenckich. Gdy Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zaproponowało ograniczenie liczby kierunków, które można studiować bezpłatnie, odezwał się głośny krzyk „liberum veto,” ochoczo podchwycony przez media. A przecież fakt, że dobry i często dobrze sytuowany student studiuje bezpłatnie na dwóch czy trzech kierunkach, oznacza niekiedy, że ktoś pochodzący z rodziny biedniejszej i o słabszej atmosferze intelektualnej, a komu zabrakło kilku punktów, by dostać się na wymarzony kierunek, traci w ogóle możliwość studiowania.

Jest tajemnicą poliszynela, że bezpłatne studiowanie, poza podstawowym kierunkiem, na jednym czy nawet dwóch kierunkach lingwistycznych to dla wielu studentów prosty sposób na bardzo dobre darmowe kursy językowe. Niestety, tacy studenci są zupełnie głusi na argumenty, że zabierają miejsca tym, którzy są co prawda nieco mniej zdolni, ale chcą ukończyć całe studia, a nie uczęszczać wyłącznie na wybrane zajęcia językowe.

Również ze zdecydowanym protestem spotkały się propozycje jednej z przygotowanych ostatnio strategii szkolnictwa wyższego, aby środki publiczne przeznaczane dotychczas na stypendia naukowe przesunąć na zwiększenie liczby i wielkości stypendiów socjalnych. Protestują na ogół ci zdolniejsi, często też lepiej sytuowani, nie bacząc na dramatyczną sytuację biedniejszych koleżanek i kolegów.

Nowe Ateny

XVIII wiek to czas powstania dwóch słynnych encyklopedii: angielskiej — wydanej przez Chambersa i francuskiej — powstałej z inicjatywy Diderota. Były niezwykle jak na owe czasy kompendiami wiedzy naukowej. My też mieliśmy swoją encyklopedię — „Nowe Ateny” Benedykta Chmielowskiego. Było to jednak dzieło bardzo szczególne — poza użytecznymi wiadomościami zawierało np. informacje o czartach i upiorach.

Podobnie teraz — specjalnością znacznej części naszych „uczonych” jest publikowanie prac w bezwartościowych kwartalnikach, zeszytach naukowych czy prezentowanie ich na trzeciorzędnych konferencjach. Prac tych nikt nie czyta.

Zamiast publikować po angielsku w najlepszych periodykach, próbuje się wmawiać opinii publicznej, że nasze wydawnictwa prezentują nadzwyczajny poziom, a wstrętni Anglosasi i tak nie dopuszczają nas do ich czasopism.

Żądza przepychu

Prusacy wkraczający na ziemie polskie w czasie rozbiorów byli zaskoczeni przepychem pałaców i kościołów. Gdy inni zbroili i szkolili armie, wznosili twierdze, budowali drogi i usprawniali administracje, my z zapalem trwoniliśmy pieniądze na zupełnie inne cele. Skutek wszyscey dobrze znamy.

Bogate uczelnie świata mają na ogół dobrze zaplanowane i bogate kampusy. Gdy muszą inwestować, wybierają najpierw wydatki na tworzenie nowych zespołów badawczych lub wzmacnianie istniejących, a także wyposażanie laboratoriów. Żeby lepiej wykorzystać sale i budynki, prowadzą na ogół zajęcia również w czasie tzw. semestrów letnich. Decyzje o nowych inwestycjach w budynki są podejmowane z wielkim namysłem.

Polskie uczelnie w ostatnich latach, korzystając m.in. z funduszy europejskich, nadrabiają wieloletnie zaległości inwestycyjne i odpowiadają na zwiększoną liczbę studentów. Dlatego też

wiele inwestycji jest całkiem zrozumiałych. Ale w niektórych przypadkach niepokoi liczba i skala budowanych obiektów, w czasie gdy te już istniejące stoją puste w czasie wakacji, a tym bardziej, gdy jedne wydziały uczelni inwestują w mury, podczas gdy inne mają nadmiar powierzchni.

Mam też wrażenie, że władze wielu uczelni nie zdają sobie sprawy, że z takim trudem budowanych pomników pychy ich dziekanów i rektorów nie będzie kim zapełnić. Bo mniej będzie maturzystów.

Wsi spokojna, wsi wesola

Zakończona niedawno w Muzeum Narodowym w Krakowie wystawa „Sarmatyzm. Sen o potędze” zwracała uwagę na zmianę mentalności szlachty na przełomie XVI i XVII wieku. Zmieniła się ona z rycerzy w ziemian. Ruchliwość i aktywność została zastąpiona stabilizacją i zanikiem zainteresowania światem.

Również obecnie nieruchliwość kadr szkolnictwa wyższego w Polsce powoduje przywiązanie do zastanych rozwiązań i zanik dyskusji. Ułatwia też tworzenie się trwałych, nie zawsze pozytywnych układów personalnych. A przecież mobilność pracowników jest konieczna dla pobudzenia kreatywności i tworzenia zespołów, które mogłyby konkurować z najlepszymi w świecie.

Próby jej wymuszenia wywołują jednak natychmiastowe reakcje typu: „człowiek nie może nagle wyjechać do innego miasta, jeśli ma rodzinę i dom”. Ale przecież w Polsce migrują obecnie setki tysięcy młodych ludzi — nie tylko do innych miast, ale także innych krajów! Też przecież mają rodziny i na ogół, podobnie jak absolwenci studiów doktoranckich, nie mają domów. Dlaczego tylko pracownicy wyższych uczelni mieliby być niemobilnym wyjątkiem?

Promyki nadziei

Oczywiście sarmatyzm miał też swoje jasne strony. Widać je również i w polskich uczelniach — zdarzają się wybitni, rzetelni naukowcy czy oddani studentom dydaktycy. Działa Fundacja na rzecz Nauki Polskiej, która stara się wspierać autentyczną naukę. Nadzieję dają też wprowadzane ostatnio zmiany ustawowe w tym obszarze, a także powstałe ostatnio strategie jego rozwoju.

Ale to wszystko zbyt mało, by wyrwać nas z zakłętego kręgu quasi-sarmackiej ideologii prezentowanej przez znaczną część środowiska akademickiego, która, parafrazując wstęp do katalogu wspomianej wystawy, „jest wykorzystywana dla usprawiedliwienia... sobiepaństwa, ksenofobii, lenistwa umysłowego i zwykłego oportunistycznego lęku przed wprowadzeniem niechcianych zmian, nowinek, rozwiązań, które mogłyby zakłócić święty spokój pracowników wyższych uczelni” (w oryginale: ziemianina).

**prof. Andrzej Jajszczyk pracuje w Katedrze Telekomunikacji AGH w Krakowie. Był członkiem zespołu firmy Ernst & Young i Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, który przygotował na zlecenie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego strategię rozwoju szkolnictwa wyższego do 2020 r. Jest laureatem Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, tzw. polskiego Nobla, za wynalazki zwiększające przepustowość internetu.*

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - <http://wyborcza.pl/0,0.html> © Agora SA